

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 185.

№ 23. Warszawa, 1 grudnia 1906 r. Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Dobry rok.

OD REDAKCYI.

Ósmy rok istnienia naszego pisma dobiega końca; z dniem 1 stycznia rozpoczynamy IX rok wydawnictwa „Łowca Polskiego“.

Niestety, wiernym czytelnikom naszym przyznać się musimy, że rozpoczynamy ów rok nowy z pewną obawą o przyszłość naszego pisma.

Wydawnictwo „Łowca Polskiego“ pochłania bardzo wiele czasu i pracy. Ani jednego, ani drugiej nie żałują mu ludzie, którzy to pismo powołując do życia i do tej chwili prowadząc, mieli przeświadczenie, że czynią rzecz pożyteczną. Gdyby jednak liczba prenumeratorów miała być wyrazem społecznej potrzeby danego organu, to Redakcya „Łowca Polskiego“ mogłaby powziąć przekonanie, że potrzeba myśliwskiego pisma wśród ogółu naszych myśliwych, nie wzmaga się, lecz, przeciwnie, zanika. Liczba prenumeratorów „Łowca Polskiego“ w roku ubiegłym zmniejszyła się znacznie.

Pojmujemy dobrze, że czasy, jakie kraj przeżywa, wstrząśnienia, jakim całe nasze życie społeczne uległo, zaprzątnęło umysły ważniejszemi od myślistwa sprawami. Wskutek tego ten i ów przepomniał o zaprenumerowaniu pisma, nieuprawiającego polityki, ani spraw partyjnych.

Wynikłe w końcu roku zeszłego strejki pocztowy i kolejowy, powstrzymały napływ prenumeraty, której wysłać we właściwym czasie nie było sposobu, a późniejsze przypomnienia może uchodziły uwagi dawnych naszych prenumeratorów. Los taki spotkał nietylko „Łowca Polskiego“, ale i wiele innych tygodników i czasopism polskich, które też w ciągu roku zmuszone były przestać wychodzić, lub wlokły żywot suchotniczy.

Niemniej jednak, z uczuciem pewnej przykrości, stwierdzić musimy, że z tych, czy innych powodów, bardzo wielu myśliwych w ciągu roku ubiegłego z lekkiem sercem rozstało się z pismem, ich interesom poświęconem.

Zawiadamiając zupełnie szczerze wszystkich zwolenników „Łowca Polskiego“ o powyższem, czynimy to w nadziei, że interesując się losami pisma, nie odmówią mu swego poparcia i postarają się o zwiększenie koła jego prenumeratorów wśród kolegów-myśliwych.

Do dzisiejszego numeru dołączamy blankiety przekazów pocztowych z prośbą o rychłe nadesłanie prenumeraty na rok przyszły.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Drugim, najczęściej używanym sposobem polowania na jelenie, jest naganka. Jeleń, jako zwierz niezmiernie przebiegły i ostrożny, wymaga nader umiejętnego prowadzenia obławy, a mimo to, w licznych wypadkach drwi sobie z wybiegów myśliwych i niestrzelany, z miotu uchodzi.

W ogólnych zarysach sposób prowadzenia obławy na jelenie, podobny jest do tego rodzaju polowań na dziki, tylko że jeleń wymaga mniej ludzi na obławę, ale za to doskonale wyszkolonych i znających charakter zwierza. Jeśli tylko obławnicy będą się zachowywali hałaśliwie, zwłaszcza, gdy zwierzyna objawia chęć sforsowania linii obławy, wówczas jelenie prawie na pewno przerwą się przez nagankę i strzałów unikną. Dlatego obławnicy, idący zupełnie cicho, gdy zwierza przed sobą ujrzą, zamiast się zbie-

List barona Morgensterna do przyjaciela, bankiera Abendsterna.

Kochany Przyjacielu!

Nareszcie po wielkiem strzelaniu i nagankach — jak sobie życzę długiego zdrowia — mogę dopiero teraz znowu do Ciebie napisać.

Tak, słuchaj i podziwiaj, gdy Tobie powiem, że noszę barwy Dyany i namiętnie poluję w polu i zaroślach na rozmaitą dziczyznę!

Jak jestem prawdziwy *baron von Morgenstern*, tak myślę uchodzić niezadługo na zawsze za wielkiego łowca przed Panem. Stałem się przecież teraz baronem, to muszę też obecnie podług dobrego *„bon ton“* zajmować się tą szlachetną pasyą! Obok uganiania się na giełdzie i wyścigów na automobilach o zakład, arystokratyczne myślistwo jest najpiękniejszym moim celem w życiu.

Pokazuję się zawsze w zielonym stroju, w kapeluszu kłusowniczym z przedartą wstążką, zasianym wszelkiego rodzaju piórami i kutasikami, aż po zagięty do góry, brzeg potłuszczony, i nigdy nie wypuszczam z ręki bata na psa; na mojej kamizelce brzęczą i ruszają się różne przedmioty, jak skrzeki zajęcze i pierścienie z pieczęciami, olśniewają złote świstawki i srebrniki, wyszywane haftki i brunatne sprzączki, wygięte zęby-wykluwaczki i kły z pyska maciory dzikiej, wykrzywione części rogu daniela i wyrośniętych parostków gemzy; w moich licznych kieszeniach niezliczonych ubrań tkwią naboje i flaszki koniaku, a zakolanki myśliwskie kształtu pałasza, oraz krój obuwia świadczą, że już natura sama mię obdarzyła sztuką wyginania nóg i wykrzywiania ich, zanim jeszcze potrzebuję wdrapać się na górę wysoką.

W moim pałacu, pełnym blasku i lśnienia, przebywam prawie ciągle w wielkim, wygodnym „gabinecie myśliwskim“. Przy jego progu złoconym pysznie wygląda skóra pantery, zamiast dywanu perskiego; na podłodze w *cloisonnée* i na tureckiej otomanie leży siedm sztuk tak białych i tak miękkich, jak śnieg, potężnych skór niedźwiedzi polarnych, kapitalnej długości i szerokości, będących niebezpiecznem trofeum myśliwych, gospodarujących pod biegunem północnym; wśród ozdób zielonych gobelinów i tapet występują nadzwyczajne rogi mylkusów, a między zdobyczami i przyborami myśliwskiemi, uzyskanemi w starym i nowym świecie za dobre, grube pieniądze, i tutaj ustawionemi w grupy, znajdują się wspaniałe egzemplarze, tak rzadko wyjątkowe i okazałe, że żaden inny arystokrata, a nawet zapewne żaden poten-

gać, by lukę zapełnić, powinni się zatrzymać i kryjąc się za drzewami, chyłkiem z za nich się pokazywać, niby myśliwy, który na zwierza czatuje, a broń Boże, nie mają krzyczeć, ani nawet poświstywać. W przewidywaniu zaś, że zwierz tak chytry, jak jeleń, w ośmiu wypadkach na dziesięć linię naganki sforsuje lub flankami wyjdzie, nie należy ściśle linii kardynalnej myśliwymi obstawiać, lecz przeciwnie wszystkie znane przesmyki (weksle) na czterech bokach miotu strzelbami obstawić, zalecając, aby żaden z myśliwych nie ruszał się ze stanowiska, póki przez konnego gajowego uprzedzonym nie zostanie. Jeśli zaś zwierzyna linię obławników przerwie, wówczas najbliższy gajowy dać powinien umówiony sygnał, aby myśliwi, stojący poza linią obławy, byli w pogotowiu, gdyż wtedy jelenie najczęściej wychodzą tym bokiem, który poza naganką leży. Gdyby zaś zwierzyna, przerwawszy naganke, z miotu nie wyszła (co powinien sprawdzić konny gajowy), wówczas naganka pędzi tenże sam ostęp w przeciwnym kierunku, co prawie zawsze się udaje. Zdarza się jednak i w tym wypadku, że jelenie pędzone powtórnie, pozostają w miocie; wówczas należy znów miot pędzić w pierwotnym kierunku, aż póki nie zmusimy zwierzyny do wyjścia na jedną z czterech linij.

Co się tyczy zachowania się myśliwych na tego rodzaju polowaniach, zbytniem jest chyba powtarzać, że zwierzyna tak ostrożna wymaga największych środków ostrożności, aby dobry rezultat polowania zapewnić. Najlepiej też jest, aby myśliwi rozstawili się cichaczem na stanowiskach, zanim naganka zajdzie, gdyż bardzo często przy rozstawianiu obławników, zwierzyna ruszyć może i przejść nieobstawionemi jeszcze stanowiskami. Unikać też należy wszelkich głośniejszych rozmów, schodzenia się na stanowiskach, palenia papierosów i t. p. Na stanowisku należy odrazu być przygotowanym do strzału, aby później, z chwilą pojawienia się zwierza, gwałtownym ruchem go nie spłoszyć. Jeleń ma nadzwyczajnie rozwinięte zmysły: słuch, wzrok i węch; widzi on i słyszy wszystko: najmniejszy szmer, lada ruch niebaczny, nie ujdą jego uwagi. Nawet w wyborze kostyumu na polowanie trzeba być bardzo oględnym, gdyż wszelkie kolory, odbijające na tle lasu, łatwo przez zwierzynę mogą być dostrzeżone. Dlatego należy wybierać kostyum o barwie zielonkawej, szarej lub jasno-brunatnej, któraby kwadrowała z tonami okalającej kniei; nigdy zaś nie brać ubrania bardzo jasnego, a zwłaszcza czarnego, gdyż takie jeleń spostrzega z łatwością. Pamiętam, jak razu pewnego spłoszyłem sobie jelenia tylko dzięki temu, żem miał na głowie biały kapelusz. Jeleń wytknął chyłkiem na linię i zatrzymał się, spojrzawszy najprzód w stronę mego sąsiada. Czekałem, aż póki nie przejdzie dalej, bom w tej pozycyi strzelać nie mógł. Tymczasem jeleń zwrócił głowę w moją stronę i mimo żem najmniejszego ruchu nie zrobił, jak szalony, zawrócił i w miot uszedł. Niewątpliwie mój biały kapelusz był tego przyczyną.

Bardzo często jelenie wychodzą na linię stępa, zatrzymują się nawet przez dość długą chwilę i jeśli nic podejrzanego nie zauważą, przechodzą na drugą stronę spokojnie, dając czas myśliwemu do akuratnego mierzenia. Zdarza się jednak, że jelenie decydują się wziąć linię w pełnym galopie i wtedy prawie zawsze stosują pewien, właściwy sobie, manewr, który im w wielu wypadkach życie ratuje, a mianowicie w chwili, kiedy dochodzą do drugiej strony linii, dają ogromnego, zwykle parometrowego szprynca prosto w górę, a ponieważ jest to właśnie moment, kiedy myśliwi strzelają, więc prawie zawsze ze strzału wyskoczą. Pamiętam, że razu pewnego wyszło na mnie ośm byków i jedna łania; szły one w szalonym pędzie i wszystkie dziewięć kolejno, przychodząc na drugą stronę, robiły ten skok szalony w górę. Nie potrzebuję dodawać, że oba moje strzały chybiłem. W przewidywaniu tego i jeśli tylko knieja na to pozwala, to lepiej jest chwilę tę przeczekać i strzelać po drugiej stronie już w kniei, aniżeli na linii podczas skoku, gdyż trzeba wtedy doskonałego strzelca, aby go podczas tego szprynca trafić należycie.

Trzecim sposobem polowania na jelenie, często u nas stosowanym, jest podjazd. Sądzę, że zbytecznem jest przypominać czytelnikom naszym wszystkie szczegóły tego rodzaju polowania. Ograniczę się więc do wymienienia najważniejszych. Przedewszystkiem wózek podjazdowy powinien być tak urządzony, aby zeń łatwo było zeskakiwać w czasie jazdy. Najlepiej temu celowi odpowiada długa linijka z szerokiemi stopniami po obu stronach. Z tyłu znajduje się skrzynia lub kosz z wiekiem, do którego można składać niektóre przedmioty, niezbędne na polowaniu, jak płaszcz nieprzemakalny, a ewentualnie zabitą zwie-

---

tat nie posiadał nigdy podobnego duplikatu. Niepodobna Ci dać dokładnego opisu wszystkich przedmiotów, nie mogę opisać tysiącznej części. Obok wypchanych, naturalnych ciał kun, lisów i innych rabusiów, które nam, niestety, niszczą kurniki, wiszą tu futra pręgowanych hyen, kufle do piwa z kości słoniowej, ogony cietrzewi i głuszców, czaszki dzików i innych niedźwiedzi, całe „stado" broni myśliwskich, kilka pęków oszczepów zardzewiałych, pistolety do strzelania, topory i dzidy do przelewania krwi; przy rożkach leśnych i trąbach myśliwskich widzi się maszyny do wabienia i flety pastuchów, gilzy prochowe i okrągłe przybitki, błyszcząco polerowane czaszki najrozmaitszych gatunków zwierzyny, a śród nich jeszcze wszędzie wiele z olbrzymiem porożem i tym podobne i jeszcze inne. Biurko do pisania, wokoło obstawione dzidami na dziki i założone literaturą myśliwską, jest wykonane, tak samo jak fotel, w stylu rokoko, a nad niem widzi się na obrazie, jak bogini Dyana bez trykotów, ręce cnotliwie założywszy na piersi, w otoczeniu nimf uśmiechniętych, schodzi do kąpieli śród cienistego lasu na górze.

I w innych salonach, nawet w pysznym buduarze mojej Salci który kosztował dziesięć tysięcy gotówką , świadczą malowidła, albo jaki sprzęt z fabryki mebli myśliwskich, jak bardzo jestem przejęty sprawami łowieckiemi.

Moje wielkie zainteresowanie myślistwem,—z dumą i radością mogę to twierdzić — przeniosło się także na moich domowników i położyło piętno na mój dom szlachecki w rozmaity sposób. *En famille* mówi się już od kilku tygodni bezustannie gwarą myśliwską wyłącznie. Moja Salcia gra codzień sto razy pieśń o „Strzelcu wędrującym o brzasku porannym z łukiem i strzałą po górach i dolinach"; gdy ona przeszukuje przed spaniem swą jedwabną koszulę nocną *en detail*, to muszę jej życzyć „*Weidmanns Heil!*". Dzieci mają „domek myśliwski", liżą, jak „zwierzyna", wszystkie solniczki, a potem „wycieknją", żeby jaknajprędzej „żerować". Służba, ile tylko jej jest, a jest dużo, ma szarą liberyę, zielonem obszytą, a na rękawach i klapach nosi wizerunek srebrnego rogu myśliwskiego z moim herbem. Że mamy szkockie koniki, *ponies* myśliwskie, na których jeżdżą po angielsku moi starsi chłopcy, Jakób i Henryk, przyczem ku uciesze powszechnej gonią gęsi przed naszą willą, to Cię zapewne nie zdziwi bardzo. Gdy biorę na polowanie broń palną, to zaraz się zlatują dzieci, wrzeszczą i hałasują, poczem na wyścigi śpieszą do izdebki babci, zamykając ją, żeby stara się ze mną nie spotkała i nie błogosławiła mnie życzeniami przed „wyjściem".

(*Dok. nast.*).

rzynę. Wózek taki powinien być o ile możności zwrotny, niewywrotny, nie za wysoki i nie za nizki, aby nim w razie potrzeby przez poręby jeździć można było. Kosz jest o tyle od skrzyni lepszy, że nie robi w czasie jazdy tyle hałasu. W braku specyalnego wózka podjazdowego, można używać zwykłej gnojówki, wyjąwszy deski z jednej strony, od której myśliwy ma usiąść. Najmniej odpowiednią do podjazdu jest bryczka, z której wyskakiwać w czasie jazdy jest trudno, a dla osób otyłych — nawet niebezpiecznie. Ważną też rzeczą jest, aby koń — względnie konie w zaprzęgu były spokojne i w cuglach łagodne.

Gdy się podjeżdża spostrzeżone sztuki, należy jechać wolno, lecz nigdy nie należy wózka zatrzymywać na widoku zwierzyny, bo to ją prawie zawsze płoszy i dobry rezultat polowania niweczy. Myśliwy powinien zeskoczyć z wózka w trakcie jazdy i w takiem miejscu, gdzie zakryty drzewem lub krzakiem, wygodną pozycyę do strzału znajdzie; wózek zaś tymczasem zwolna odjeżdża dalej, a zwierzyna, nim zajęta, bynajmniej nie widzi manewru myśliwego.

Dzisiaj, przy ulepszonej broni myśliwskiej, a zwłaszcza przy zastosowaniu lunety do małokalibrowych sztucerów Mausera i Mannlichera, które biją nadzwyczaj dokładnie, strzał do jelenia, stojącego na 200, a nawet na 300 kroków, nie należy do bardzo trudnych. Gdy jednak myśliwy posiada zwykły sztucer dwulufowy, choćby nawet bardzo dokładny ekspres, nie radziłbym strzelać ponad 100, a najwięcej 150 kroków, gdyż na tę metę muszka zakrywa już znaczną część zwierza, czyniąc strzał niepewnym nawet dla doskonałego strzelca, a jeleń jest zwierzyną zbyt rzadką i zbyt szlachetną, abyśmy ją nieoględnie kaleczyć mieli. Lepiej więc w danym razie strzału się wyrzec, szukając lepszych warunków, niż złym strzałem narazić się na wstyd, a co gorsza, na okaleczenie tak poszukiwanej zwierzyny.

Istnieje jeszcze inny sposób polowania na jelenie, najmniej może myśliwski, ale najczęściej stosowany przez naszych myśliwych, szczególniej *minorum gentium*, a także przez raubszyców. Chcę mówić o sposobie t. zw. „na wychodnego", czyli z zasadzki. Znając dobrze miejsca, któremi jelenie pod wieczór lub rankiem na żerowiska chodzą, myśliwy obiera sobie, o ile możności zakryte stanowisko, kierując się też przy wyborze dyrekcyą wiatru, i tutaj spokojnie wyczekuje pojawienia się zwierza. Nie chcę bynajmniej potępiać tego sposobu polowania, gdyż są majątki, w których nie można stosować ani polowania na ryku, ani naganki, ani podjazdu; radziłbym tylko używać go w ostatecznym razie, jako dającego najmniejszą sumę przyjemności myśliwskich.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

Albert Mniszek.

JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

(*Ciąg dalszy*).

II.

Jarząbek w literaturze naukowej i łowieckiej polskiej. — Jarząbek w łowiectwie. — Polowanie z wabikiem. — Polowanie z psem i naganką. — Daty statystyczne. — Hodowla i ochrona.

Jarząbek w literaturze naszej, tak naukowej, jak i łowieckiej, bardzo niepoczesne zajmuje miejsce. Żaden z naturalistów naszych specyalnie ptakiem tym się nie zajmował, nikt dokładniejszej monografii jego nie napisał. Dawniejsi nasi naturaliści nie znajdują często miejsca dla jarząbka w swych dziełach, jak np. Pietruski, lub mają wprost błędne o nim informacye, jak znany i zasłużony zresztą badacz naszej fauny krajowej, ks. Krzysztof Kluk, który w swej historyi naturalnej (Warszawa, 1813) bardzo niedokładnie i błędnie opisuje wygląd i zwyczaje jarząbka, a w końcu dodaje: „z lasa nigdy nie wychodzą, siadają na nizkich gałązkach drzew. Są bardzo ostrożne i z bojaźni drapieżnych ptaków częste jednem okiem poglądają w górę".

Wodzicki nie poświęcił jarząbkowi osobnej pracy, jak to uczynił innym niektórym ptakom, np. jaskółce, wróblowi, skowronkowi etc. A szkoda! Jego ślicznem piórem i z wielkiem przyrodoznawstwem pisane, ornitologiczne spostrzeżenia, czyta się, jak piękną powieść!

Na takie odznaczenie nasz jarząbek, ten ptak piękny i tajemniczy, zupełnie zasługiwał.

Niestety, nasz wielce ceniony ornitolog-myśliwy poświęca jarząbkowi w swej „Wycieczce ornitologicznej w Karpaty i Tatry" ledwie wzmiankę, o której w tej pracy już była mowa.

Pierwszy, dokładny i wyczerpujący opis jarząbka znajdujemy w znakomitem dziele p. t. „Ptaki krajowe" największego badacza naszego ptactwa, a niestety, zawcześnie z wielką szkodą dla wiedzy, zmarłego, ś. p. Władysława Taczanowskiego.

Z literatury łowieckiej wymienić należy znane i ciekawe niezmiernie dziełko Mateusza Cygańskiego p. t. „Myślistwo ptasze", wydane w Krakowie w roku 1571, które jest tylko obszerniejszem i poprawniejszem wydaniem znanych ksiąg Piotra Krescentyna, drukowanych również w Krakowie w r. 1549. Dziełko to wydanem zostało ponownie staraniem Antoniego Wagi w r. 1842 w Warszawie, z jego przedmową, objaśnieniami i przypisami.

Autor pisze w niem o jarząbku szarego a białego pióra i podaje ówczesne sposoby łowienia tych ptaków. Ciekawy ten ustęp cytujemy dosłownie z zachowaniem ówczesnej pisowni:

> Naprzod, siatki masz mieć podrgubne, takie coby kolki obiął w garść stawiając albo zbierając takowe iako na kuropatwy: są też potrzebne takie iako na zaiąca z obierzkami [1]) to dla tego, że ie przez kłodźinę dobrze stawić, bo z tymi podrgubnemi trudno w kłodzinę: a wszakże też możesz mieć maluczkie siateczki, które maią być iako kacerz na ryby kiedy ią rozdziergniesz. Tamże na kłodzinie masz ią postawić, a masz mieć dwa świderki maluczkie albo też szydła w tychże trzonkach maią być dziurki w końcach, a tam masz wtykać roszczki na których siatkę zawiesić, tak iakoby spadła na ptaka, kiedy w nię uderzy, gdy bieży po kłodzinie, a uwiąż drewno jakie u tey siateczki, takie coby z nim ptak nie uciekł gdy się zawrze w siatce. Te z obierzkami tak masz stawiać iako na zaiąca na roszczkach, na łokieć od ziemie abo niżey a podrgubne w ziemię kolki wtykać, a tam masz w pułsiatek siedźieć albo leżeć pod iakim łomem [2]). Abo też pod kłodziną. Budy nie trzeba, iedno suknią miey do tego przystoyną, tamże się odzywaj [3]): spar [4]) miey, to iest uwiąż ptaka na sznurku, przywiążże do tego sznurka drewno tak wielkie coby z nim ptak nie uciekł: gdy ptak przybieży na drzewo a niechce spaść na ziemię, tedy w ten czas spara wyrzuć a on spadnie na

[1]) Sznury, na które sieć jest nawleczona.
[2]) To jest stosem gałęzi, lub drzewa rąbanego.
[3]) T. j. głosem wabika.
[4]) Spar, sparek, jest to ptak sztuczny, służący do przywabiania ptaków.

ziemię do niego y trafi w siatkę: to dlatego gdy rusznice nie masz: bo rusznica dobra do siatek. Piszczałeczki masz mieć cynowe, abo kościane, abo też kiedy uiewola tedy y z pióra. Nie przeciw się temu, ze u mnie śrebrne, bo tak przywabisz kościanną, abo inakszą, jak ja śrebrną: Dobrze też jest kiedy dwa abo trzey [1]), bo jeden będzie się odzywał u siatek siedząc, a drudzy zaydą naganiać, dlatego kiedy ptak sklobiony [2]), ze niechce do piszczałki, tedy go łatwie przypędzi, abo go też tam zabije z rusznice, bo się ozywa siedząc leda gdzie odąwszy się, a tak go snadnie upatrzysz.

Jastrząbem ich też dostaniesz. Spytasz mnie a iako to? a to w Jesieni mniej yastrząba na sznurze gdy naydziesz iakie stadko tedy yastrząba wyrzucisz lada gdzie na drzewo na gałąź a tam miey sidełko na długim tykle [3]) tedy je pozbierasz sidełkiem bo się nie śmicią ruszyć przed yastrzębiem.

Dostaniesz ich tez plotkami [4]): to jest czyniąc ie na trzy łokcie od ziemie takim sposobem: przytkni laskę do iakiego krza, gdzieby mieysce rażne było, na dwie pięzi laska od laski ma być, a tam od ziemie na trzy łokcie zakręć witkę od laski do laski, a tam wetkni kalin, abo jarzębiny gronko, abo kilka a na wierzch nad tym na pięzi plotkę uwiąż ze trzema sidełkoma, takie sidełko, coby się iedno na drugie zakładało: od witki mają być sidełka na trzy palce: a gdy tak iarząbek przyleci, tedy się za szyię obiesi.

Dostaniesz ich też y prężynkami [5]), na ziemi pasieczki [6]) czyniąc, przymiatając ścieszki.

Jarząbek w europejskiem łowiectwie niepoślednie zajmuje miejsce. Składają się na to rozmaite powody. Raz, że ptak ten jest śliczną zdobyczą myśliwską, powtóre, że ptaków tych dużo nigdy na jednem polowaniu zabić nie można, a po trzecie, że łowy na nie są trudne, wymagają specyalnych zdolności wabienia i cierpliwości, wreszcie w wielu wypadkach dobrego strzelania.

Łowy z wabikiem na jarząbka, gdyż o tym rodzaju polowania nań, jako jedynie racyonalnym, tu obszernie pomówić chcemy, są myślistwem wyższego rzędu, „Eine Hochjagd“ w całem znaczeniu tego słowa. Rodzaj ten łowów przewyższa pod względem myśliwskim o wiele polowanie na cietrzewie podczas toków, a dorównuje polowaniu na tokującego głuszca.

Myśliwy, strzelający cietrzewia z budki, zdaje egzamin z cierpliwości i wytrwałości; strzelający do tokującego głuszca, zdaje egzamin z wytrwałości, tylko w większym o wiele stopniu, a zarazem z pewnej myśliwskiej wprawy i rutyny. Łowy na jarząbka są całkiem czemś innem, tu potrzeba fizycznej pracy ustępuje innym zupełnie czynnikom, bo, by dobry osiągnąć rezultat, trzeba nietylko być dobrym i cierpliwym myśliwym, ale i artystą. Łowy na jarząbka z wabikiem są tego rodzaju, „że wiele jest doń powołanych, lecz mało wybranych“, gdyż wabić tak, by móc zwabić ptaka od czasu do czasu na strzał, łatwo, lecz wabić tak, by każdy jarząbek w normalnych warunkach, jeżeli niema jakichś ważnej przeszkody, musiał być ściągnięty, jest nader trudnem. Do tego trzeba mieć specyalne, wrodzone zdolności, powtarzam, trzeba być artystą, a takich jest bardzo mało.

(*C. d. n.*).

(*„Łowiec“*).

[1]) T. j. we dwóch lub trzech.
[2]) T. j. spłoszony.
[3]) T. j. na długiej tyczce.
[4]) Rodzaj sidełek.
[5]) T. j. samołówkami.
[6]) Rodzaj siatki.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

24 września. Budzę się w Mahroni, gdzie pijemy herbatę. Pasmo gór jest jeszcze widoczne za nami; znajdujemy się już jednak na równinie pożółkłej, gdzieniegdzie usianej akacyami.

Na stacyi Kibigori wyskakuję niecierpliwie z wagonu, aby się dowiedzieć, co się dzieje z moim mężem. Naczelnik stacyi mówi mi, że wyruszył wczoraj rano w stronę gór, które widać na horyzoncie, a gdzie podobno znajdują się teraz słonie. Odległość do tych gór wynosi około pięciu dni drogi. W Port Florence oczom naszym przedstawia się mała zatoka, usiana kwiatami nenuphar... Jest to pierwsze nasze spotkanie z jeziorem Nayanza!

P. Bradney przybywa na nasze spotkanie i towarzyszy nam aż do stacyi portowej, poczem zaraz wsiadamy na parowiec „Sybil“, który jest przecudnym statkiem: wszędzie posiada wentylatory elektryczne; kajuty są doskonałe. Po śniadaniu odbijamy od brzegu. Żegluga tutaj należy do prawdziwie uroczych; statek posuwa się wśród archipelagu wysepek najrozmaitszego typu: jedne są skaliste, inne pokryte podzwrotnikową roślinnością, to znów trawami zielonemi i soczystemi, lub wysoką, żółtawą trawą, robiącą wrażenie zboża. Jakżeż musiało być urocze podróżowanie w zwykłych łodziach, kiedy to co wieczór rozbijano obóz na coraz to nowej wysepce.

O zachodzie słońca zarzucamy kotwicę w pięknej, niewielkiej zatoce. Mieszkańcy tych wszystkich wysp wymarli na sławną, afrykańską chorobę, zwaną „śpiączką“, i dziś nikt już tu nie zamieszkuje. Powrotną naszą podróż odbędziemy z d-rem Kochem, który tu przybył dla studyów nad tą ciekawą chorobą.

25 września. Od rana do 4-ej po południu czas schodzi spokojnie. Czytam, rozmawiam, leżę wygodnie w swym fotelu, a jednak powtarzam sobie ciągle, że życie na pokładzie statku, płynącym po jeziorze Victoria, nie może się równać z życiem pod namiotem wśród dżungli. Zawsze wolę to ostatnie, tyle w niem niespodzianek, tyle wrażeń!

O 4-ej wylądowujemy w Entebe. Udajemy się do miasta wielką aleją w cieniu wysokich drzew i zwiedzamy przedewszystkiem zakład misyjny, leżący w ślicznej pozycyi na cyplu. Pytamy zaraz o msgra Streichera. Jeden z misyonarzy, podchodząc ku nam, wykrzykuje z radością: „Ah! Francuzi!“ — a następnie dodaje: „Jego Ekscelencya wyjechał przed godziną“. „Alež my pójdziemy go szukać“ — odpowiadamy. „Gdzież on jest?“. „Zaledwie o dwie godziny drogi; możecie państwo jechać powozem, albo na rowerach, gdyż droga jest doskonała“.

Po tem wszystkiem przebieramy się; przeor przybywa wkrótce z dwoma innymi misyonarzami. Jeden z braciszków przynosi doskonałą zakąskę; dowiaduję się, że pochodzi on z Hazebrouck i jest kuzynem ojca Saumon. Misyonarze pokazują nam muchę tse-tsé, którą zbierają wszędzie, formując jednocześnie mapę krajów, nawiedzonych przez tą plagę. Następnie zwiedzamy kościół, z którego przenoszono właśnie wszystkie utensylia do kaplicy tymczasowej, gdyż budynek groził zawaleniem. A szkoda wielka, gdyż był zbudowany całkowicie z plecionki trzcinowej, nadzwyczaj umiejętnie zrobionej przez tubylców. Budy-

nek ten daje kompletne pojęcie o tem, co to jest kościół misyjny w tych zapadłych krajach, czego bynajmniej nie będzie widać z nowej katedry, budowanej z cegły i krytej doskonałą dachówką. Nie szukajmy też Afryki w Entebe.

Udajemy się do miasta, aby obstalować powozy; po drodze przebywamy wspaniałe aleje, okolone eleganckiemi willami, niknącemi wśród krzaków róż i passiflor. Mijamy trzy tory tenisowe, obramowane zielonemi gazonami, dochodzącemi aż do brzegu jeziora; niebieskawa, bezbrzeżna tafla jego powierzchni przypomina nam morze Śródziemne.

Wynajmem powozów zajmuje się jakiś Włoch. Znajduje się u niego wybór najrozmaitszych ciekawości krajowych. Pokazuje nam fajki gliniane, koszyki w formie kalebas z malenkim otworem, przez który krajowcy wpuszczają kawę ziarnko po ziarnku. Ma on też kalebasy i słomki do picia piwa bananowego i inne tym podobne osobliwości. Następnie idziemy do hotelu. Znów spotykamy tu Włochów: ojca, matkę i dwie córki (grające na cztery ręce). Po obiedzie udajemy się na statek, gdzie zostały nasze bagaże. Ulice są tylko oświetlone światłem, wydostającem się z domów; puszczamy więc przodem Hamissiego, ażeby nie runąć w jaką przepaść. Na przystani wołamy kilkakrotnie „Lete mashua" i wkrótce nadpływa łódź, aby nas przewieźć na pokład statku.

26 września. Wstajemy dość wcześnie, aby przybyć na czas na mszę św. o godzinie 6 i pół. Licznie zebrani wierni powtarzają głośno różaniec. Po nabożeństwie misyonarze częstują nas doskonałą kawą z Ugandy, poczem wsiadamy do powozów. Przejeżdżamy przez całe miasto, a wkrótce po wyjeździe z niego, dojeżdżamy do prześlicznego lasu, o drzewach niezmiernie wysokich, bardzo zacienionego: chwilami w lukach pomiędzy roślinnością widać błękit jeziora lub piaszczyste pobrzeże.

Po dwóch i pół godzinach jazdy, porzucamy wielką drogę, prowadzącą do Mengo, owej sławnej stolicy, zbudowanej na siedmiu wzgórzach, z których każdy ma swą nazwę: Mengo jest to dzielnica króla; Kampala — siedziba rządu brytańskiego; Rubaga — bardzo ważna stacya misyjna, o której ojcowie wspominali nam wczoraj i t. d. Wjeżdżamy do plantacyi bananów, a wkrótce potem wkraczamy na terytorya misyjne. Wysiadłszy z powozów i przebywszy wielki przedsionek, dostajemy się na podwórze, gdzie spotyka nas jeden z ojców, który prowadzi nas do małego pawilonu na audencyę do Jego Ekscelencyi. Pozostajemy odrazu pod urokiem słodyczy i prostoty biskupa. Rozmawiamy o ojcu Meunier, o naszej podróży, o tej strasznej chorobie, zwanej śpiączką i t. p. Jemy znakomite papaye (owoc podzwrotnikowy), a potem Jego Ekscelencya prowadzi nas do kaplicy: jest to prawdziwy kościół, gdyż misya ta przed pojawieniem się strasznej epidemii, była rodzajem seminaryum. Idziemy następnie odwiedzić chorych. Widzimy najprzód mniej dotkniętych chorobą: mają oni cerę ziemistą, lecz chodzą jeszcze, jak zdrowi ludzie.

Na widok nasz padają radośnie na kolana, aby przyjąć błogosławieństwo, którego biskup udziela każdemu zosobna. Najbardziej chorzy znajdują się w chatach oddzielnych: jedni z nich, zawinięci w kołdry, leżą bez życia, prawie już zimni; innych trzęsie febra; inni nareszcie, których mózg został zaatakowany, śpiewają jakieś zwrotki bez związku. Zdaje się jednak, że mimo to wszyscy zachowują względny spokój.

Ojciec Lorrain, który się niemi zajmuje, ma do pomocy pięciu katechetów, krajowców (siedmiu już zmarło od dwóch lat, a z pomiędzy żyjących - dwóch jest już silnie zaatakowanych). Niemniej jednak pełni poświęcenia, nie poddali się zwątpieniu, i to właśnie jest największym tryumfem religii katolickiej, gdyż wychowańcy misyj protestanckich nie wytrzymują nigdy takiej próby.

Skromna kapliczka wznosi się wśród tych wszystkich cierpień. Widzimy tam niby długi rulon z kory drzewa: to trup jednego z pacyentów, który tam spoczywa przed pogrzebaniem, gdyż zwyczajem miejscowym jest chować umarłych w zawinięciu kory drzewa „lubuga".

Idziemy potem do nowo-zbudowanych części misyi, przebywając liczne plantacye bananów, wśród których rosną tu i ówdzie drzewa „Mutubas", kora którego służy na tkaniny. Po drodze też przebywamy cmentarz, na którym spoczywa już 500 zmarłych w ciągu dwóch lat. Tutaj widzimy grób misyonarza, założyciela misyi w Entebe. Wspinamy się potem na wzgórek, na którym wznosi się dom misyonarzy, a dalej — przyszła siedziba sióstr miłosierdzia, mających się zająć pielęgnowaniem chorych. Widok ztąd na pięć odnóg jeziora, na Entebe i na ciemny las, jest wprost porywający, i trudno sobie wyobrazić, że ten kraj, tak uroczy, jest siedliskiem tak strasznej epidemii.

Powróciwszy do małego pawilonu, zastajemy tam już przygotowane śniadanie. Jego Ekscelencya częstuje nas kompotem z bananów, które, zdaje się, stanowią główne pożywienie misyonarzy w Ugandzie. Kompot tam jest doskonały.

Po zakąsce Jego Ekscelencya opowiada nam o swej dyecezyi. Potrzeba jest ośmiu miesięcy, ażeby wizytować wszystkie misye, a biskup je odwiedza przynajmniej raz na dwa lata — jak nas objaśnia ojciec Bresson, sekretarz Ekscelencyi, który spędził wielokrotnie czas swych wakacyj w Montresorze. Biskup opowiedział nam też o misyi, która znajduje się przy granicy śniegów na górze Rouvenzori, nieustannie prawie zakrytej przez chmury; chwilami tylko, po burzach, rozdziera się zasłona i wtedy widać „wielką górę". Musi tu być widok wspaniały. Zdaje się jednak, że widok od strony Congo musi być jeszcze piękniejszy, gdyż od wschodniej strony szczyt ten jest mniej urwisty. Jest tam bardzo dużo słoni, lecz, jak wiadomo, zaprowadzono tam ochronę zwierzyny (rezerwę). Zresztą biskup nam mówi, że słonie i bawoły obfitują w całej Ugandzie.

Ekscelencya ma w swej dyecezyi 92,000 katolików i 8-iu seminarzystów Bagandas, których wkrótce ma zamiar wyświęcić na kapłanów.

Opuszczamy Ekscelencyę, który dał na pamiątkę Henrykowi dwie ciekawe lance z Ugandy, a mnie — śliczny sztylet z rączką z kości słoniowej, pochodzący z Boulega na zachodniem pobrzeżu jeziora Alberta. Jest on dla mnie tem milszą pamiątką, że Ekscelencya już od dłuższego czasu posługiwał się nim do przecinania kartek w książkach.

Nasze powozy obrały sobie tym razem drogę przez ogród botaniczny, bardzo pięknie położony nad jeziorem; następnie jedziemy przez nowe aleje, okolone willami, kryjącemi się wśród zieleni i kwiatów. Wracamy jeszcze do misyonarzy, aby się z nimi pożegnać, poczem udajemy się na statek, aby tam zjeść obiad.

(C. d. n.)

Ze wspomnień starego myśliwego.

Curiculum vitae „Pana Gordona".

(Dokończenie).

Przez Gordona dowiedziałem się również, że gdy duże stado kaczek znajduje się za daleko na strzał, to byleby podpełznąć do brzegu, potem wysunąć psa naprzód, a dopomógłszy jeszcze wabieniem, wy

dając głos trwogi (naturalnie kaczej), to całe stado przypłynie do brzegu na kilka kroków; w obu jednak tych wypadkach, myśliwy, przed ukazaniem się psa, ani na chwilę nie powinien być dostrzeżonym choćby najdalej. Dowiedziałem się następnie, że kaczory i kaczki jałowe w czerwcu i lipcu wypierzają się, że one, zamiast kryć się, jak młódki, gdy powstanie hałas na bagnie, płyną coraz dalej, lecz gdy się je zapędzi w kąt ciasny, wychodzą na ląd; otóż Gordon, ile razy byłem na pewnem bagnie, zawsze mi przynosił z lasu 3 — 5 sztuk wypiorów. Wreszcie dowiedziałem się, że żórawie przychodzą do psa bardzo blizko, byleby również, jak kaczki, nie widziały poprzednio człowieka. Oto przykład. Idąc na polowanie, gdym był blizko domu, pomiędzy klombami spostrzegłem na błocie 5 stojących żórawi; wziąłem Gordona do nogi, chyłkiem dostałem się do opodal stojącego krzaka, gęsto porośniętego trzciną, a ukrywszy się w nim, powiadam: szukaj Gordon; w tej chwili zaczął tak szukać, tak się zwijać, jak może nigdy, choć dobrze wiedział, mając wiatr ogromny, że tam nic niema. Żórawie, spostrzegłszy go, natychmiast zaczęły maszerować ku mnie, wtedy dałem odpowiedni sygnał Gordonowi, by się zbliżył, mówiąc: stój, nie ruszaj się. Żórawie przyszły na kilka kroków, tak, że jednemu palnąłem w łeb bekasim śrótem. Co to za zmyślność tego psa! On żórawi widzieć nie mógł, bo były zadaleko, ale zmiarkował odrazu, że skoro kazałem mu iść za nogą, a schowawszy się, kazałem mu szukać, choć tam nic nie było, potem stać i nie ruszać się, to tu będzie coś ciekawego i stąd takie znamienite znalezienie się jego. Dowiedziałem się jeszcze, że żórawie w czerwcu i lipcu wypierzają się, a ruszone zmykają tak szybko, że ich pies na błocie doścignąć nie może.

Przyszedłszy raz do domu, mając siedm gatunków ptaków przy torbie, chciałem spróbować, czy też pamięta, jak się ptaki nazywają, w tym celu ułożyłem je na podłodze, kazałem je podawać na wyrywki; parę razy się omylił, ale natychmiast się poprawił.

Po takich dowodach inteligencyi i zachowania się na polowaniu, nadałem mu tytuł „pan", który wszyscy domownicy za należyty uznawszy, zawsze mu go dodawali, z czego wkrótce był widocznie zadowolony, a niekontent, gdy go pominięto. Rozumiał bo też mowę tak dobrze, iż mawiałem: on chyba dysputy w polityce tylko nie rozumie. Dowodem tego być może, iż gdy się zjawił gość, to Pan Gordon, żeby jaknajdłużej ciągnęła się rozmowa, na krok nas nie odstępował, tylko siedział naprzeciwko, patrzył w oczy i tylko od czasu do czasu przechylał głowę to na jedną, to na drugą stronę.

Wiatr miał taki, że zdarzało się, iż do jednego kszyka szedł z podniesionym nosem 300—400 kroków, a raz zimową porą idąc po pod krzakami, gdy spostrzegłem, że Pan Gordon skręca w nie, myślałem, że zając, tymczasem, gdy on coraz dalej się zapuszcza, przeląkłem się, czy to czasem nie wilki tu leżą, drę się więc przez łozy w ciągłej obawie z palcem na cynglu najmniej kroków 300, wreszcie wychodzę na drugą stronę, łąką wzdłuż Wieprza, więc krańców nie widać, równina, jak na stole, bez żadnego krzaczka, nie widać nic, a Pan Gordon widocznie prowadzi do czegoś, wreszcie, uszedłszy znowu ze 300 kroków, podniósł stado kuropatw. Myślę, że takiego wiatru nie jeden wyżeł pozazdrościć mu może.

Wykonywał też stale trzy najtrudniejsze rzeczy dla wyżła, a najprzód najtrudniejsza ze wszystkich, gdy po strzale do stada kuropatw, to nierozbite zapadnie, a żadna z kur, nie zrobiwszy kroku, przyczaja się w trawie, a nawet choćby i na gołej roli, wtedy kuropatwy nie dają żadnego wiatru wyżłowi; widziałem nawet dobre psy, które na rozkaz swego pana energicznie szukały, lecz, nie mogąc nic zawietrzyć, zniechęcały się i szukać przestały. Ja zaś, gdy przyszedłem, i wskazując ręką, powiedziałem: „Szukaj Panie Gordon, tu są kuropatwy", to chodził tak uważnie, tak widać węch natężał, że zawsze bodaj jedną, dwie wystawił. W początkach w głowę zachodziłem, co to znaczy, widziałem przecież, gdzie zapadły, a przyszedłszy w to miejsce, pies nie znaleźć nie mógł. Trwało to dopóty, dopóki mnie nie objaśnili starzy myśliwi; leżą kuropatwy tak twardo, że gdyby je tylko upatrywać można, każdą nawet starkę, ręką złapaćby było nie trudno; raz mi się to tylko udało. Drugą trudną rzeczą dla wyżła jest, gdy zbarczony chróściel, spadnie w dużą trawę, w zboże, a szczególniej w łozy, natychmiast zaczyna uciekać piechotą, a gdy pies, idąc za ciekiem, dochodzi go, przyczaja się; pies staje, lecz gdy na rozkaz posunie się, chróściel, zamiast uciekać prosto w dalszym ciągu, skręca pod psa i ucieka w tył, pies nie wie, co się stało, szuka przed sobą i w końcu chróściel przepada. Z Panem Gordonem fortel ten nie udał się nigdy, gdyż jak tylko zginął mu ptak z przed nosa, natychmiast zawracał i potem nie stając już, dopóty go ścigał, dopóki nie złapał go, nie wiem już jakim sposobem. Trzecią wreszcie trudność stanowi kaczka zbarczona, spadła na wodę; gdy ją Pan Gordon, płynąc, doganiał, kaczka dawała nurka, ale i on również, tak, że tylko końcem ogona machnąwszy nad wodą, wypłynął nareszcie zawsze z kaczką w zębach. Jest to przymiot nieocenionej rasy psów kurlandzkich, miałem bowiem i drugiego wyżła tej rasy, który również sztukę tę tak samo wykonywał.

W trzeciem, zdaje mi się, polu za każdym postrzelonym ptakiem, lecącym nizko, puszczał się pędem Pan Gordon i w tej chwili go przynosił, w jesieni zaś, gdy kurki i chróściele są mocno oblane i mają lot ciężki, nigdy mi nie dał strzelać do takiego tłuściocha, zawsze za nim pogonił i przynosił natychmiast. Słowem przez ciąg 13-letniej, poczciwej służby tego pomocnika nie przypominam sobie, żeby mi kiedykolwiek choć jedna postrzelona sztuka zginęła; chyba poszła na las, to już w takim razie szukać nie kazałem.

Brałem zawsze Pana Gordona na polowania do lasu, czy to z obławą, czy nawet z gończemi. Gdy stałem na stanowisku, Pan Gordon leżał na boku, nie podnosząc głowy, czy to gdy składałem się do strzału, czy, co więcej, gdy gończe z hałasem podtarły pode mnie, wtedy trząsł się, jak galareta, oczy, zdawało się, że mu z orbit wyskoczą, głowy nigdy nie podniósł, czynił to zaś nie z obawy kary, bo go za to nigdy nie karałem, tylko z przekonania, że tak potrzeba, skoro pan tak każe. W ciągu kilkudziesięcioletniej praktyki mojej z wyżłem, raz tylko potrzebowałem odwołać Pana Gordona, gdy się ściągał do zwierzyny, i posłuchał mnie bez żadnej trudności. Szukałem kuropatw w miejscowości wzgórkowatej, naraz Pan Gordon zaczyna się ściągać, wychodzę za nim na wzgórek, lecz jakżeż wielkie było moje przerażenie, gdym spostrzegł stojące 2 ogromne wilczyska nie dalej jak o sto kroków, a Pan Gordon szedł ciągle do nich wolniutko, jak zwykle, gdy czuł niedaleką zdobycz. Krzyknąłem „do nogi", przyszedł natychmiast, zapewne zdziwiony, że go odwołuję i nie strzelam.

Wszystkich cnót myśliwskich, jakie posiadał ten pies, wszystkich chwil przyjemnych, jakie przez niego doznałem, trudno opisywać, muszę jeszcze tylko zwrócić uwagę na założenie, jakie na początku tego opisu umieściłem, a mianowicie, że pragnąłem nauczyć mego wyżła tego, żeby umiał sobie radzić w każdym wypadku i nieledwie zgadywać moje myśli. Dwa następujące przykłady pokażą, że i to potrafił.

1-o Gdy strzeliłem na ziemi do stada wróbli, kilka zbarczonych uciekło piechotą. Pan Gordon natychmiast puszczał się za niemi, a którego dopadł, gniótł mu łebek i dalej za drugim, trzecim, dopóki tym sposobem wszystkich nie podusił; potem dopiero pędził na pobojowisko i wszystkie pełzające i trzepoczące

się, tym sposobem dobijał. 2-o Raz znalazłem dubelty w dość wysokiej, ale rzadkiej trawie. Staje Pan Gordon raptem i widzę, że bardzo krótko. Przychodzi mi ochota złapać tego dubelta, przybliżam się więc tuż do Pana Gordona i schyliwszy się, zaczynam upatrywać. Gdy się to przeciągnęło czas pewien, Pan Gordon domyśla się, o co chodzi. stojąc więc w miejscu przedniemi nogami, tyłem zakreśla półkole i tym sposobem jest do mnie nosem zwrócony; upatrując jeszcze czas jakiś na próżno, kazałem spłoszyć; lecz nie udała się sztuka, dubelt tak szybko frunął prostopadle w górę, żeśmy go w końcu nie złapali.

O przymiotach Pana Gordona podczas znajdowania się w towarzystwie ludzkiem bardzo dużo możnaby napisać, ale ograniczę się tylko do wzmianki, że właśnie dla tych przymiotów był ulubieńcem wszystkich domowników, a obcy jeszcze do dnia dzisiejszego pamiętają;- że wszystko, co wykonywał, płynęło zawsze z jego dobrej woli, nie zaś z niewolniczej pokory, czego właśnie nawet w psie nie lubię. Muszę tylko jeszcze przedstawić jeden rys jego charakteru, że podczas poobiedniej drzemki w ogrodzie, Pan Gordon ani na krok mnie nie odstępował, to mniejsza, ale on się nigdy nie położył, dopóki leżałem, tylko siedział i oglądał się na wszystkie strony, a gdy dostrzegł człowieka choćby jaknajdalej, pędził do niego i nie dopuszczał do mnie; dopiero, gdy siadłem na ławie, wyciągał się na trawie i zasypiał niebawem, dając tym sposobem dowód ufności, że jak on mnie podczas snu, tak ja jego strzedz i bronić będę. Pan Wł. J. dawał mi za Pana Gordona 600 rubli, suma wysoka, zwłaszcza na owe czasy, ale czyż podobna było zdecydować się na sprzedanie przyjaciela?

K. Dębicki.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

28 lutego. Ubiegłej nocy słonie powtórzyły koncert i tak blizko podeszły do obozu, że się woły do ucieczki zerwały i spłoszeni Syngalezi całą noc przy ogniskach wartowali. Szczególnie od strony, gdzie leży wczorajszy nieboszczyk, najgłośniejsze dochodziły ryki, jakby głosy żalu i groźby od krewnych i przyjaciół, zebranych wokoło poległego towarzysza.

Żona moja poszła zrana odfotografować go w tej dziwnej pozycyi, w której upadł, ja zaś na zwykłą tournee po dżungli się wybrałem. Emocyonujące miałem spotkanie z nowym zwierza rodzajem. Przedzieraliśmy się przez ciemny gąszcz, wśród bloków granitu i urwistych kamieni, gdy ujrzałem nagle nad skałą wystający, kudłaty łeb czarnego niedźwiedzia. Wsparty przedniemi łapami na kamieniach, przypatrywać się zdawał ciekawie naszemu pochodowi. Nim zdołałem sztuciec zerwać z ramienia i strzelić, okazya łatwego strzału minęła; niedźwiedź znikał właśnie za skałą, gdy mu kulę posłałem. Widocznie jednak coś dostał, bo przewalił się na drugą stronę, odbierając możność powtórnego strzału i mrucząc groźnie, jakby tarzał się w miejscu. Gdy podbiegliśmy, już niedźwiedzia nie było, tylko doszedł nas z gęstwiny szelest uciekającego zwierza. Farby nie znaleźliśmy, tylko sporo kudłów, jak gdyby kula powierzchownie po futrze go dotknęła.

W ten sposób straciłem, niestety, sposobność ubicia pięknego zwierza, który acz do pospolitych mieszkańców cejlońskiej dżungli się liczy, jednak dosyć rzadko w rozkładzie myśliwego figuruje.

Czarny niedźwiedź (Ursus labiatus) zamieszkuje skaliste jaskinie górskie i niedostępne urwiska górzystych okolic, z których tylko o pewnych porach roku do niższych, bliżej wody położonych regionów się zbliża. Spotkanie z nim od przypadkowego szczęścia zależy: specyalnie polują nań myśliwi na zasadzkę, w noce księżycowe, nad wodopojem zasiadając. W Indyach widziałem raz ten gatunek niedźwiedzia, lecz do strzału nie przyszedłem.

Nareszcie udało mi się ubić dzisiejszego ranka dwa jelenie-axisy, rogacza-widlaka i łanię. Ostatnią zabiłem przed spotkaniem rogacza i byłbym nie strzelał, gdyby mnie nie skusiły do tego względy spiżarniane. Strzeliłem ją ze stadka, w którem ani jednego rogacza nie było, gdy galopem umykała do gąszczu. Dziwnym trafem, biedaczka, w chwili gdy padała w ogniu, ugodzona pękającą kulą z ekspresu, dała życie młodemu jelonkowi, który przyszedł na świat zupełnie zdrowy i od kuli nienaruszony. Przykry był widok maleńkiego biedactwa, kwilącego obok konającej matki, i szczerze żałowałem, iż byłem sprawcą tego rodzinnego dramatu. Zabraliśmy maleństwo do obozu i starali się wyżywić je kokosowem mlekiem, lecz zdechło niebawem z braku odpowiedniego pokarmu, bo zresztą było zupełnie zdrowe i normalne.

Powróciwszy do obozu, zastałem w nim dobrą nowinę, że jednego z mych słoni, postrzelonych koło Butawy, odnaleźli krajowcy już nieżywego, i trofea, t. j. trąbę, ogon i nogi, wprost do Hambantoty do rządowego komisarza odnieśli. Wiadomość tę przyniosło kilku krajowców z jednej z osad nadmorskich, i opowiadają, że słoń postrzelony zapędził się nad samo morskie wybrzeże, tuż pod ludzką osadę. Padłszy, ryczał długo, co zwróciło uwagę mieszkańców, którzy nazajutrz go w tem miejscu już martwego znaleźli. Kilka dni już od tego zdarzenia upłynęło, i daty zgadzają się z dniem, w którym do czterech słoni koło Butawy strzelałem. Mimo wszelkiego prawdopodobieństwa, że znaleziony słoń do mnie należy, wolę go sobie nie liczyć, bo pewności niema, i Soult mnie przestrzega, że krajowcy często takie sztuki układają, w chęci wyłudzenia bogatego bakszyszu.

Po południu wybrałem się na gołębie i zabiłem trzy pary, a między niemi dwa śliczne okazy zielonego koloru z niebieskiemi dzióbkami i różowemi łapkami (Osmotreron bicinta); będziemy mieli smaczne pieczyste na dzisiejszy obiad. A propos pieczystego, nie mogę tu nie wspomnieć z uznaniem o naszym syngaleskim kuchmistrzu. Karmi nas doskonale i gotuje tak smacznie, czysto i zdrowo, że w niejednym quasi-pierwszorzędnym hotelu na Wschodzie, a może i w Europie, kuchnia nie bywa lepsza od naszej obozowej. Dodać trzeba, że obchodzi się bez wszelkich wygód i sprzętów, gotując w paru garnkach na ogniu, rozłożonym na ziemi, w jamce między dwoma kamieniami. Nasze menu polowe, złożone zwykle z produktów polowania: zupa jelenia, sztuka mięsa bawoła,. paw lub kogut leśny z rożna — stanowią nasze codzienne, smaczne i zdrowe potrawy. Nad morzem mamy niemal codziennie doskonałą, świeżą rybę i raki.

Polowanie na najgrubszego zwierza trudno połączyć ze strzelaniną do ptaków, która ogranicza się *au stricte nécessaire* na potrzeby kuchenne; kogut leśny, paw, gdy się uda, lub gołębie, jak dzisiaj, dostarczają codziennie świeżego pieczystego. Tysiące przepiórek mieszka w dżungli, w wysokich trawach i zaroślach, wyrywając się co krok z pod nóg przechodnia. Gatunek, zdaje mi się, odmienny od naszej przepiórki, jaśniej upierzony z ciemno-bronzowemi brzuszkami (Hypothaenidia striata).

Nasz traker, Maduma, przechodzi wszystko, co dotychczas w tym fachu widziałem. Jego spryt myśliwski to chyba nie zdolność, wyrobiona wprawą, lecz instynkt niemal zwierzęcy. W labiryncie ścieżek, w najciemniejszym gąszczu oryentuje się, jakby po ulicach znanego mu miasta; jedynem swem okiem widzi, czy też odgaduje w dżungli tysiące znaków, dla mnie niedostrzegalnych, a dla niego będących tajemniczym alfabetem, którym czyta w otwartej księdze przyrody i nie myli się nigdy; po tropie to albo biegnie, jak wyżej, to skrada się, jak pantera, i z niesłychaną zręcznością umie zbliżyć się do zwierza i myśliwego do strzału doprowadzić. Zna każdy przesmyk, każdą kryjówkę lub wodopój, wie, z której strony do niego dojść najdogodniej, skąd strzał najłatwiejszy. Przytem spokojny, nie gorączkuje się niepotrzebnie, nie szwargoce tyle, co każdy Syngalez, a szczególnie Soult; łypie tylko wokoło swem okiem ruchliwem i mknie naprzód na czele naszej drużyny, na migi się ze mną porozumiewając, skoro zwierza ujrzy lub jakiś trop ważniejszy odkryje. Nie darmo płynie krew Weddów w tem dziecku natury, i powtarzam, że podobnego sprytu, czy instynktu myśliwskiego, jak w Madumie, w życiu dotąd nie widziałem.

1 marca. Gorąco się wzmaga i z braku wiatru więcej się czuć daje. Dziś w południe termometr wskazywał 28° Reaumur'a w cieniu. Brak wody dotkliwy. Kulisi wykopali wprawdzie małą studzienkę w piasku rzeki koryta, i pokazała się woda, lecz bardzo mętna i brudna. Dzień dzisiejszy zeszedł dosyć blado, bez godnego zanotowania zdarzenia. Pierwszy raz od początku wyprawy, nie spotkałem w dżungli zwierzyny na strzał, i prócz kilku ptaków, z niczem do obozu wróciłem.

2 marca. Nie bez żalu opuszczamy uroczy nasz obóz w Mandagala, wokoło którego ubiłem słonia, trzy bawoły i dwa jelenie, prócz drobnej zwierzyny, i miałem spotkanie z niedźwiedziem. Cofamy się do Uda-Pottana i zajmujemy poprzednie stanowisko. Rano i po południu bezowocnie tłukłem się po dżungli, nie mogąc przyjść do strzału do grubej zwierzyny. Maduma podprowadził mnie do stadka bawołów, lecz w takim gąszczu, że on sam więcej odgadywał jego bliskość, niż go widział, a ja nic dojrzeć nie zdołałem.

Za to mój mały zbiór ornitologiczny wzbogacił się dziś ślicznym okazem rzadkiego dzioborożca czarnego (Anthracocerus coronatus), którego mi się podejść i z drzewa ściągnąć udało. Niesłychanie jest ostrożny i trudny do ubicia, co podwaja jego wartość, jako jednego z najciekawszych okazów ptasiej fauny Cejlonu. Czarny dzioborożec żyje w południowych Indyach, na Cejlonie i wyspach Malajskiego archipelagu, i odznacza się ogromną, w górę wygiętą narośłą kostną na dużym i szerokim dziobie, co mu nadaje wygląd dziwnie anormalny, a w mowie krajowców miano ptaka o dwóch głowach przysparza. Próbowaliśmy go na pieczyste, lecz czarne jego mięso jest twarde i niesmaczne. Znany jest z historyi naturalnej jako zazdrosny małżonek, który swą połowicę, gdy jaja w dziuplach drzew wysiaduje, zamurowuje dopóty, aż młode z jaj się wyklują.

Tak zwana sucha burza przeciągnęła dziś nad nami. Czarne chmury, wichrem gnane, pędziły od oceanu i zaciemniły wokoło horyzont; zdaleka grzmot huczał przeciągle, jakby ryk salw armatnich; czasem piorun rozdarł ciemną chmur zasłonę, a szum rozhukanego morza coraz głośniejszym się stawał. Skończyło się krótkim deszczem, pierwszym i ostatnim, jaki w tych stronach Cejlonu widziałem.

3 marca. Po wczorajszej burzy i deszczu słońce jasno wstało na pogodnem tle nieba, oblewając złotym blaskiem gorącego światła poranek dnia, który byłbym mógł zaliczyć do najpomyślniejszych całej wyprawy, gdyby nie istna feralność, prześladująca mnie, a raczej moje kule. Choć doszedłem już do liczby dwóch słoni, którą pierwotnie zakreśliłem sobie, jako limitę, biorąc licencyę na duże tylko sztuki; jednak nie mogłem oprzeć się żądzy spotkania się jeszcze raz z tą rzadką zwierzyną. Wczesny brzask dzienny zastał nas już na tropie kilku grubych sztuk. Niebawem doszliśmy do nich bardzo blizko; wybrałem najbliżej stojącą, nie dalej, niż o dziesięć kroków ode mnie, i strzeliłem, mierząc za ucho. Słoń wrzasnął po strzale, zachwiał się, lecz nie upadł, i umknął, znikając w ciemnym gąszczu wśród piekielnego hałasu łomu drzew i gałęzi. Snadź dostał kulą, ale nie w to miejsce, gdzie potrzeba. Niebawem podjęliśmy nowy trop całego stada słoni. Ślady były widoczne na obfitej rosie i ziemi wilgotnej po wczorajszym deszczu. Maduma, jak tropowiec, biegł za śladem, co czas jakiś kierunku wiatru próbując. Dużo słoni w kupie być musiało, bo istny korytarz w gąszczu wydeptany.

Spostrzegamy gniazdo ogromnych motyli, t. zw. Atlasów (Atticus Atlas), największych lepidopterów na świecie. Soult niemal o słoniach zapomniał, tak się temi ćmami ucieszył, gdyż stanowią one pokupny towar dla muzeów i kollekcyj europejskich. Dopiero co z kokonów wylęgłe, śliczne w świeżości kolorów z oryginalnemi okienkami w skrzydłach, siedziały, jak ptaki, na liściach i rękoma łowić się dawały.

Po tym motylowym incydencie idziemy dalej. Słonie kręcą nami po dżungli, wreszcie zawodzą nas do wysokopiennej, gęsto podszytej kniei. Nie słyszeliśmy nawet poprzedniego zwykłego łomotu gałęzi, ostrzegającego o ich blizkości, gdy znaleźliśmy się pośród nich. Maduma stanął, jak wryty, potem usunął się na bok, puszczając mnie naprzód. Najbliżej ode mnie na lewo stała ogromna, siwa sztuka, zadem ku mnie zwrócona, trąbą rytmicznie się wachlując; przedemną słonik, wielkości wołu, gałęziami się bawił, wesoło niekiedy pokwikując; na prawo czerniało 6—8 sztuk; w oddali było ich sporo więcej, bo widziałem wychylające się ponad krzewy, trąby, dosięgające nieprawdopodobnie wysoko pęków liści i gałęzi w konarach drzew; koło nas, za nami i przed nami wszędzie słonie wokoło. Nie wiem, czy drugi raz w życiu coś podobnego zobaczę, ale wiem, że tego obrazu nigdy nie zapomnę. Przysiadłem na ziemi i dobrą chwilę obserwowałem ruchy pachydermów. Chociaż byliśmy tak blizko, nie zauważyły nas wcale i niebezpieczeństwa przeczuwać się nie zdawały. Nagle młody słonik coś zwietrzyć musiał, bo kwiknąwszy głośno, pobiegł do opodal stojącej matki i przytulił się do niej. W oka mgnieniu wszystkie, jak na komendę, powyciągały trąby przed siebie i słychać było wyraźnie, jak powietrze wciągały. Teraz nie było już czasu do stracenia, bo i kolos, koło mnie stojący, ruszać się począł. Powstałem z ziemi i odskoczywszy nieco w bok, podsunąłem się, jak mogłem, najbliżej. Byłem od jego zadu nie więcej, niż o trzy kroki, lufą go niemal trącić mogłem. Wydawał mi się największym ze wszystkich, które dotąd widziałem, tak olbrzymi, że mu zaledwie do $^1/_3$ ciała sięgałem. Pomimo blizkości, źle mi było strzelać, bo łeb był zakryty; dopiero gdy łomot i trzask wokoło wskazał, że całe stado do ucieczki się rzuciło, i on powoli się zawrócił i odsłonił mi część łba i ucho. W to miejsce mierząc, strzeliłem. Runął, jak stał, na przednie nogi i na bok się wywrócił. Widziałem dokładnie, jak jasna smuga farby z za ucha trysnęła.

Łomot walących się wokoło pni i gałęzi od uciekającego w popłochu stada, był tak straszny, że mimowolnie obejrzałem się, szukając grubszego drzewa i schronienia. Słoni z górą dwadzieścia przebiegło koło nas, i myślałem, że nas stratują na miazgę.

Jakże przykre było me rozczarowanie, gdy, rzuciwszy okiem na leżącą sztukę, którą uważałem już za pewne trofeum, zoczyłem, jak się kolos powoli dźwignął i mimo drugiej kuli, w szybkości posłanej, umknął za innemi i przepadł. Pobiegliśmy śladem lejącej się obficie farby; niestety! po kilkuset krokach poczęła się zmniejszać, a uszedłszy z milę jej śladem,

straciliśmy ją zupełnie. Trop rannego zbiegł się z innemi i musieliśmy od dalszego szukania odstąpić.

(Dok. nast.).

YAK I GNU.

Do najdzikszych i najsilniejszych przedstawicieli rodziny wołów należy bez wątpienia yak, przebywający na zimnych płaskowzgórzach środkowej Azyi: w Tybecie, Turkestanie, Mongolii, w pustyni Gobi i Chinach.

Zwierzę to słusznie być może przedmiotem uwagi i podziwienia, przedewszystkiem choćby dlatego, że przebywa tylko na niesłychanych wysokościach, na które trudno się dostać każdemu innemu zwierzęciu. Dobrowolnie nie schodzi niżej ośmiu tysięcy stóp nad poziomem morza, a najulubieńsze jego miejsca pobytu leżą o wiele wyżej, aż do dwudziestu tysięcy stóp. Na takiej wysokości nic więcej się nie znajduje, jak wieczny śnieg, lód, a czasami drobne mchy. Na takiej wysokości, wskutek silnego rozrzedzenia powietrza, ptak nawet żyć nie może. Tymczasem zwierzę tak olbrzymie, bo mające przeszło sążeń długości, czuje się doskonale na tej wyniosłości, zaś przeciwnie cierpi i tęskni, jeżeli okoliczności zmuszą je spuścić się niżej.

Postać yaka nie mniej jest dziwaczną, jak jego usposobienie. Ma on w sobie coś z żubra, byka; konia, kozy i barana. Zgrabna budowa i włosisty ogon przypominają konia; długa sierć, która czasami aż się wlecze po ziemi, czyni go podobnym do kozy lub barana; głowa z zagiętemi, jak sierpy, rogami zdaje się należeć do byka, a wysoko sterczące łopatki i silna muskularność—do żubra. Gęsta i długa sierć, przeważnie czarnej maści, okrywa mu głowę, plecy, boki i górną połowę nóg, a na ogonie tworzy wspaniałą kiść.

Dodać należy do tego szczególny głos, który nie jest właściwie ani beczeniem owcy, ani rykiem wołu, ani rżeniem konia, lecz stanowi rodzaj chrząkania, podobny do tego, jaki wydają maciory, tylko o wiele potężniejsze.

Pomimo swojej postawy i pozornej ciężkości, yak jest zwierzęciem nadzwyczaj zręcznem i zwinnem; na niedostępne, górskie ścieżyny nad urwiskami i przepaściami wspina się krokiem pewnym, ze zręcznością dzikiej kozy.

Na yaki polują, aby zdobyć, prócz mięsa, delikatne włosie z ogona, które posiada znaczną wartość dla mieszkańców Azyi, gdyż wyrabiają z niego różne przedmioty, służące do ozdoby, między innemi, t. zw. buńczuki tureckie. Polowanie jednak na te zwierzęta połączone bywa z poważnem niebezpieczeństwem, ponieważ yaka trudno jest zabić, a raniony rzuca się z wściekłością na napastnika, dla którego wówczas niema ratunku.

Mieszkańcy Azyi postarali się oswoić to użyteczne zwierzę, co im przyszło tem łatwiej, że yaki schwytane w młodości, znoszą niewolę, łatwo krzyżują się z innemi gatunkami bydła, a utrzymanie ich prawie że nic nie kosztuje. Oprócz wybornego mleka i mięsa, nadają się wielce do przewożenia ciężarów, gdyż czterysta funtów każdy nieść może z łatwością po najgorszych, górskich przejściach i polach, okrytych lodem. Również używają ich pod wierzch, podróżując po górach.

Podobnież bardzo osobliwem zwierzęciem, które zaliczają do antylop, mimo że posiada w sobie pewne cechy wołu, a inne jeszcze konia, — jest t. zw. gnu, żyjący w Afryce południowej. Głowę ma dosyć podobną do wołu, z rogami grubemi, nagle w tył zagiętemi, ogon cały włosisty i grzywę na karku, podobnie jak u konia; gęste, ostre włosy na szyi i podbródku tworzą rodzaj brody.

Zwierzę to, wielkością przechodzące osła, odróżnia się namiętnem zamiłowaniem swobody. Spuściwszy ku dołowi swą cudaczną, brodatą głowę i rozpuściwszy na wiatr długi, biały ogon, gnu mknie z nieopisaną szybkością przez stepy i równiny afrykańskie. Zależności od człowieka znieść nie może i nie pozwala się obłaskawiać nawet w młodości, a tembardziej w starszym wieku.

W całej postaci, w ruchach, nawet w smaku mięsa gnu posiada wyraźne oznaki bliskiego powinowactwa z bydłem rogatem. Obok innych własności spostrzeżono, że gnu, podobnie jak bawół i byk, bardzo są wrażliwe na widok czerwonego koloru.

Czasami—jak opowiada pewien podróżnik—zbliżając się do ich stada, zawieszaliśmy na drągu czerwoną chustkę. Zabawnie było patrzeć na ich dziwaczne zachowanie się. Biły się po bokach ogonami, szarpały ziemię racicami w największem rozdrażnieniu, jakby chciały rzucić się na nas; lecz, gdy chcieliśmy dać do nich ognia, wtedy uciekały, ale w pewnej odległości powtarzały znowu to samo.

Jak powierzchowność, tak i usposobienie ich dziwaczne. Z ponurem i dzikiem spojrzeniem, w razie niebezpieczeństwa, rzucają się ze spuszczonym łbem na przeciwnika i nagle w stanowczej chwili zatrzymują się, zwracają się nazad i w największym pędzie uciekają. Czasem całemi godzinami stoją na jednem miejscu, patrząc nieruchomie przed siebie i nagle bez żadnego widocznego powodu uciekają cwałem.

Gnu posiada doskonały wzrok, słuch i węch, jest bardzo wytrzymały i odważny. Czasami otoczony przez całe stada zajadłych hyen, gnu potrafi jednak skutecznie bronić się rogami i kopytami i utrzymać je w przyzwoitem oddaleniu. Człowieka również zbytnio się nie obawia, a gdy nie ma innego wyjścia, zapamiętale rzuca się na myśliwego, dlatego też polowanie na te zwierzęta nie jest wolne od niebezpieczeństwa, i nieszczęśliwe wypadki nie są rzadkością. Na samem południu Afryki, w Kaplandyi gnu został już całkowicie wytępiony; podróżnik więc, chcący się z nim spotkać, musi się udać w głąb ziemi Kafrów, gdzie zwierzę to jeszcze można znaleźć, żyjące towarzysko w stadach, czasem razem z pręgowanemi końmi lub stadami dzikich kóz się pasące.

Z literatury łowieckiej.

Czytelnicy nasi mieli sposobność lubować się wspaniałym opisem polowania na jelenia, które drukowaliśmy w odcinkach „Łowca Polskiego“ w roku bieżącym.

O pracy tej sprawozdawca „Kuryera Warszawskiego“ pisze co następuje:

> „W taki to cichy, jesienny wieczór...“ Pod tym tytułem ukazało się nakładem „Warszawskiej spółki myśliwskiej“, prześliczne opowiadanie o polowaniu na jelenia podczas rykowiska. Autor, ukryty za literami St. Z., znany już jest w literaturze łowieckiej. Wśród współczesnych myśliwych literatów jeden z niewielu myśliwych-poetów, który tak głęboko odczuwa piękno natury, tak rozumie psychologię zwierząt i z taką plastyką słowa maluje swoje wrażenia, że opowiadanie jego zamienia się chwilami w poemat. Jego myślistwo jest sportem, podniesionym na wyżyny sztuki.

Oto opisuje np. stado jeleni, któremu króluje wspaniały jeleń-dwunastak. Flirt się już rozpoczął, ale sułtan rogaty nie kwapi się jeszcze do romansów. Nagle zdaleka dolatuje ryk donośny. To rywal się zbliża, a myśliwy-poeta tak opisuje ten moment:

„Znów zaryczał.. W miejscowego byka wstąpiło inne życie. Zrobił się jakby wynioślejszy, smuklejszy, najeżył grzywę, łeb wzniósł, wyłamał kark i kopiąc racicami, aż ziemia leciała w powietrze, podał naprzód brodatą gardziel i odpowiedział. Jak rozmowa dwóch leśnych olbrzymów, w której słowo każde było grzmotem, po jeziorze taczał się ryk od brzegu do brzegu, aż knieje drżały, budziły się pola, a w siołach ludzie stawali i słuchali, mówiąc: „Słyszycie? to ci byki tak grają po borach!“.

Trzeba być więcej, niż myśliwym, trzeba być artystą, aby tak odczuć rozkosz sportu łowieckiego.

Tyle „Kuryer Warszawski“. My zaś musimy przypomnieć, że z pod tego samego pióra wyszły już dwie inne rzeczy, które drukowaliśmy również w „Łowcu Polskim“, a mianowicie „Na niedźwiedzia“ i „Na rojstach litewskich.“

Wszystko to są równoznaczne arcydzieła naszej nadobnej literatury myśliwskiej, posiadające porywający czar poezyi i niezmierną siłę kolorytu. Utalentowany pisarz odtwarza w nich naturę, odczutą w najsubtelniejszych, jej przejawach z zadziwiającą wiernością, a spowiada się ze swoich wrażeń myśliwskich tak szczerze i wyraźnie, że, czytając tę spowiedź, odczuwa się dreszcze, które wstrząsały autorem na jego stanowisku obserwacyjnem. Jest to chyba największy tryumf pisarza, gdy czytelnik tak się wciela w jego myśli i słowa!

Ustęp z „Kuryera Warszawskiego“ wymaga pewnego objaśnienia. „W taki to cichy, jesienny wieczór...“ wyszło w oddzielnej odbitce z „Łowca Polskiego“, jako drukowany manuskrypt, w bardzo małej ilości egzemplarzy, pozostającej w dyspozycyi autora. Odbitki te nie są przeznaczone na sprzedaż. W tej samej zresztą formie, jako drukowany manuskrypt, wyszły i dwie poprzednie prace, o których wspominamy wyżej.

Autor wzdraga się dotychczas z wydaniem tych rzeczy w oddzielnem wydaniu, przeznaczonem na sprzedaż. A szkoda, tylu myśliwych spędziłoby kilka najmilszych chwil w życiu z tą książką w ręku. Mamy nadzieję, że p. St. Z. da się jednak namówić na wydanie swoich literacko-myśliwskich pereł i zdjęcie przyłbicy w tych szrankach, w których może walczyć, jako jeden z najpierwszych.

J. Z.

„Kalendarz Myśliwski“ na rok 1907.

Wyszedł z druku jedyny polski „Kalendarz Myśliwski“, zawierający szereg prac specyalnych, oraz informacyj, niezbędnych dla każdego zwolennika prawidłowego myślistwa.

Oprócz zwykłych działów corocznych, informacyjno - kalendarzowych, tegoroczny „Kalendarz“ zawiera następujące prace z dziedziny łowieckiej: 1) „Bażantarnie“, wskazówki praktyczne opracował J. K—z. 2) „Dzikie kaczki i gęsi“, — hodowla i polowanie, p. Jerz. 3) „Trójlufka, czy dubeltówka?“ 4) „Kaliber strzelby śrótowej“, p. J. Paczoski. 5) „Tłuszcze i oleje do broni“ p. J. 6) „O zębach psa“,—określenie wieku za pomocą zębów, p. dr. K. 7) „Kupno psów“,—rady i wskazówki, p. Jotka. 8) „O różnych pokarmach dla psów“ p. Jerzy Oreński. 9) „Tropy naszych pospolitych zwierząt łownych i drapieżnych“, p. Wiktor Stephan. 10) „O dziku słów kilka“, p. Jan Sztolcman. 11) „Szafka do broni“. 12) J. M. Browning“. 13) Ochrona gniazd przed drapieżnikami“. 14) „Wyzysk!“ przez M. Sawostickiego, tłom. A. S. (nowelka).

„Kalendarz Myśliwski“ za rok 1907 zawiera również bardzo wiele rysunków. Do artykułu „Bażantarnie“ dołączono 14 rysunków, do art. „O zębach psa“ — 6 rys., dalej jest „aparat do ssania dla szczeniąt“, 16 rysunków do „Tropów zwierząt“, „szafka do broni“, przyrząd do „ochrony gniazd“.

Na szczególną uwagę zasługuje nieznany dotąd portret J. M. Browninga, którego imię tak słynie w obecnej chwili.

Razem przeto „Kalendarz“ zawiera aż 40 ilustracyj.

„Kalendarz Myśliwski“ jest do nabycia w składzie broni Warszawskiej Spółki myśliwskiej (Królewska 17), w kantorze „Łowca Polskiego“ (Ś-to Krzyzka 36) i we wszystkich znaczniejszych księgarniach. Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy 60 kop.

Dla św. Huberta.

Otrzymujemy list następującej treści:

Szanowny Redaktorze!

Jeden z naszych kolegów myśliwych, który, skutkiem zbiegu okoliczności, musiał zerwać z praktyką łowiecką, a który jednak całą duszą należy do rodziny myśliwskiej, zwrócił się do mnie z prośbą o poparcie pewnego projektu, czego on sam, nie mając obecnie częstych stosunków z bracią myśliwską, skutecznie uczynić nie może. Boli go mianowicie to, że aczkolwiek mamy w Królestwie cały zastęp myśliwych, a sama Warszawa liczy ich parę tysięcy, że aczkolwiek wszyscy się piszemy z pod znaku św. Huberta, nie ma ten nasz Patron w żadnym z kościołów na całym polskiej ziemi obszarze swego ołtarza — i rzuca myśl, aby go ufundować w nowobudującym się kościele Zbawiciela. Projekt ten naszego kolegi-myśliwego-weterana uważam za konieczne przesłać Szanownej redakcyi „Łowca Polskiego“, jako organu, który duchowo łączy cały nasz świat myśliwski i który wszystko, co ogółu myśliwych dotyczy, poważnie przywykł traktować. Zamieszczenie cieplejszej odezwy w „Łowcu Polskim“, więcej zrobić może, niż usiłowanie oddzielnych osobników.

Sam projekt, bez względu na pojęcie religijne poszczególnych myśliwych, jako dążący do ufundowania wprost pamiątki na wieki, zdaje mi się, godny jest poparcia. Fundusze znajdą się niewątpliwie, jeżeli Szanowna Redakcya zechce zająć się przyjmowaniem składek; każde kółko, każdy myśliwy, każde grono myśliwych, zebrane przygodnie na polowaniu, cokolwiek na ten cel przeznaczy. Mamy zresztą w swojem gronie artystów - malarzy, rzeźbiarzy, budowniczych i t. p. Weźmy się *viribus unitis*, a napewno myśl naszego kolegi będzie uwieńczona pomyślnym rezultatem.

B. Wysocki.

Nigdy jeszcze „Łowiec Polski“ nie miał sposobności występować w sprawie tak dla całego ogółu polskich myśliwych sympatycznej, jak poruszone w powyższym liście. To też ją popieramy całem sercem i sądzimy, że znajdzie ona żywy oddźwięk w duszy każdego polskiego łowca.

Zasięgnęliśmy odpowiednich informacyj w komitecie budowy kościoła Zbawiciela i otrzymaliśmy zawiadomienie, że żadnych przeszkód do urzeczywistnienia projektu niema, byleby cały fundusz na bu-

dowę ołtarza dla św. Huberta był komitetowi dostarczony. Koszt wybudowania ołtarza wyniesie około 6,000 rub.

Suma ta w porównaniu do liczby myśliwych w Królestwie Polskiem jest nieznaczna i nie wątpimy, że przy dobrych chęciach w krótkim przeciągu czasu może być zebrana. Idzie tylko o to, aby zarówno w Warszawie, jak i w innych okolicach naszego kraju, znaleźli się ludzie, którzy budowę ołtarza dla św. Huberta żywo do serca wzięli i zajęli się gromadzeniem drobniejszych składek, dla przesłania ich do redakcyi „Łowca Polskiego“, która najchętniej podejmuje się pośrednictwa w tej sympatycznej sprawie. Wszystkie napływające składki ogłaszać będziemy w „Łowcu Polskim“ i bezzwłocznie przesyłać je komitetowi budowy kościoła.

Na razie podajemy kolegom-myśliwym projekt wyzyskania bieżącego sezonu myśliwskiego dla tej sprawy. Niech każdy myśliwy za każdego zabitego zająca złoży tylko 5 kop. na rzecz budowy ołtarza dla Patrona myśliwych. W Królestwie w ciągu zimowego sezonu pada 400,000 do 500,000 zajęcy, przeto i jednokopiejkowa składka od każdej zabitej sztuki już prawie pokrywałaby koszt budowy. Że jednak pada mnóstwo zwierzyny z ręki kłusowników, do których w tej zacnej sprawie bynajmniej nie apelujemy, przeto niech myśliwi opodatkują się na ten cel składką nieco wyższą, a gdy już stanie ołtarz św. Huberta, z naszych składek wzniesiony, westchniemy gorąco do świętego Patrona myśliwych, by błogosławił naszym niwom i kniejom, chroniąc nas od wypadków i wrogów naszego myślistwa, — kłusowników.

Mamy nadzieję, że nasze Towarzystwo łowieckie zapoczątkuje owe składki na najbliższych swoich polowaniach i da dobry przykład całemu ogółowi myśliwych.

My, z naszych szczupłych funduszów redakcyjnych, imieniem „Łowca Polskiego“ składamy 10 rb. na budowę ołtarza św. Huberta.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 28 listopada. W okolicy Krośniewic osiadł b. leśnik z dóbr Krośniewickich i na zadzierżawionych od włościan gruntach, a często i na dworskich łapie sieciami zające, w celu sprzedania do Prus samic. Ponieważ takie łowienie zwierzyny, bez specyalnego pozwolenia jest prawem wzbronione, Rada przedsięwzięła środki celem ukrócenia tego nadużywania.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W d. 22, 23 i 24 października na polowaniu w dobr. Włodawskich u Augusta hr. Zamoyskiego zabito: 16 dzików, 8 rogaczy, 2 lisy, 170 zajęcy, 8 słonek, 10 cietrzewi, 22 kuropatwy i dwa zdziczałe koty domowe.

W dniu 10 listopada odbyło się polowanie w Sobolewie, w gubernii siedleckiej u p. Stefana Łaskiego, na którem zabito 69 zajęcy, lisa, cietrzewia i 9 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie miał gospodarz: cietrzewia, 6 kuropatw, 10 zajęcy.

W dobrach Helenów pod Pruszkowem, należących do Jakóba hr. Potockiego, w dn. 12 listopada r. b. odbyło się pierwsze polowanie z naganką. Oprócz gospodarza i przedstawicieli administracyi majątku, w polowaniu brali udział sąsiedzi hrabiego i kilku myśliwych z Warszawy. W 12 fuzyj ubito w 1 strejfie i 5 pędzeniach 171 zajęcy i 57 kuropatw. Królem polowania był pan Stanisław Lilpop z Brwinowa, który miał na rozkładzie 26 zajęcy i 21 kuropatw.

W d. 12 listopada odbyło się polowanie w dobrach Chrząstowskich u hr. Henryka Potockiego; w ośm strzelb zabito 370 zajęcy, 5 królików, 89 kuropatw, 8 bażantów: razem sztuk 472. Polowano w polach; wzięto w dwóch strejfach około 2800 morgów. Nazajutrz 13 b. m. ci sami myśliwi polowali w lasach, należących do dóbr Nakło, w których to lasach dzierżawi polowanie hr. H. Potocki od właścicielki, pani Helclowej. Opolowano około 1000 morgów. Zabito 189 zajęcy, 9 królików, 3 kuropatwy; razem sztuk 201. Łącznie z dwóch dni największą ilość zwierzyny na rozkładzie, t. j. sztuk 107, miał hr. August Stanisław Potocki.

W Sójkach, w pow. kutnowskim, u Jana hr. Moszyńskiego odbyło się 14 b. m. polowanie z naganką w 11 strzelb. Rezultat 10 miotów był: 164 zające, 25 kuropatw, bażant i kania, zabita bardzo wysoko przez p. Stan. Wodzińskiego (jun.). Królem polowania był p. Michał Wodziński z Żal, który miał ogółem 31 sztuk. Zwierzostan na Sójkach wykazuje, co może nawet w warunkach niekorzystnych zdziałać opieka, dbałość i racyonalna hodowla, gdyż dość zaznaczyć, że jeszcze 6 lat temu na zimowem polowaniu padało tam 43 zające, czyli ¼ cyfry obecnej. Ogółem zaś w r. b. ubito w Sójkach 170 zajęcy, 217 kuropatw, 10 bażantów, 4 derkacze, 2 przepiórki, 7 jastrzębi i 87 szkodników, wliczając w to psy i koty.

W d. 21 listopada odbyło się w Nowej Wsi (pow. kutnowski) u p. Stan. Wodzińskiego doroczne polowanie z naganką w 10 strzelb, przyczem opolowując przestrzeń mniej więcej 20-włókową, zabito 167 zajęcy, 19 kuropatw i psa. Rezultat ten sam wykazuje do czego doprowadzić może ochrona i racyonalna hodowla zwierzyny. W jednym miocie padło 56 zajęcy, nie licząc kuropatw, których było mnóstwo. Królem był p. Karol Zieliński ze Skempego, — oprócz gospodarza i jego synów brali udział: ks. kanonik Chełmicki, hr. Stan. Łubieński, hr. Jan Moszyński, p. Zaborowski, p. Kazimierz Wodziński z Kter i p. Górecki ze Strzegocina.

W ostatnich tygodniach odbyły się dwa polowania zbiorowe członków Warsz. Oddz. Tow. prawidł. myśl.

W dniu 17 listopada na Augustówce w 20 strzelb zabito 111 zajęcy i 6 kuropatw. Królem był p. Wł. Starzyński, który miał na rozkładzie 6 zajęcy i 3 kury.

W d. 24 listopada również w 20 strzelb zabito 113 zajęcy i 6 kur. Królem był p. Dobusiewicz, który zabił 9 zajęcy i 1 kuropatwę.

W d. 19 i 20 listop. w Śmiełowie, w W. Ks. Poznańskiem, u państwa Józefostwa Chełkowskich, odbyło się dwudniowe polowanie w 12 strzelb, na którem zabito 404 zające, 106 królików, 60 bażantów, 12 kuropatw, 2 słonki, 1 rogacza, 1 wiewiórkę, 2 jastrzębie, 3 sroki — razem 591 sztuk. Rozmaitość tego rozkładu zasługuje na uwagę.

W d. 24 listop. odbyło się w Kroczewie w pow. pułtuskim w majątku p. Kazimierza Czarnowskiego jednodniowe polowanie w 10 strzelb. Pomimo niepomyślnej pogody zabito 398 zajęcy i 10 kuropatw. Królem polowania był p. Józef Czarnowski, mając na rozkładzie kilka zajęcy i 4

kuropatwy. Do bażantów nie strzelano. O zwierzostanie, którym syn właściciela i młody gospodarz Kroczewa, p. Józef Czarnowski, gorliwie się opiekuje, świadczy fakt, że w jednym kotle padło około 120 zajęcy.

Drobiazgi myśliwskie.

Handel ptakami. Opiekun cyrkulowy Towarzystwa opieki nad zwierzętami, p. Zygmunt Jasiński, odebrał od Maryanny Rychłowskiej kilkanaście gili, które sprzedawała na ulicy. Gile przesłano z kancelaryi cyrkułowej do Towarzystwa opieki nad zwierzętami, a następnie przewieziono je w klatce do Łazienek, gdzie w obecności kilku osób urzędowych, po spisaniu odpowiedniego protokułu, zostały wypuszczone na wolność.

Handel ptakami jest obecnie bardzo rozpowszechniony na ulicach Warszawy. W niektórych punktach miasta, jak np. na rogu Brackiej i Widoku, na Nowym Świecie codziennie spotkać można ludzi, sprzedających ptaszki. Chłopcy nieletni łapią ptaki w sidła i sprzedają na ulicach miasta.

Specyalny proceder stanowi handel bitemi wróblami. Łapie się je w ten sposób, iż chleb moczony w wódce, rozrzuca się w danem miejscu; ptaki po zjedzeniu tak spreparowanego przysmaku, stają się ociężałe i wtedy chłopcy, oczekujący na ten moment, miotłą je zabijają.

Handel ptakami ogałaca nasze pola i lasy z gilów, szczygłów, słowików i wróbli. Ludzie inteligentni nie powinni, jak się to zdarza dzisiaj, nabywać ptaków od chłopców, którzy biorąc za swój towar niezłe pieniądze, zachęcają się do coraz szerszego uprawiania karygodnego procederu.

Nieprzyjaciel psów. W domu Nr. 6 na ul. Maryensztadt, niedawno jakiś niewykryty sprawca, otruł cztery psy lokatorów tego domu. Na schodach domu znaleziono porozrzucane kawałki kiełbasy i sztuki mięsa, które wraz z otrutemi psami odesłano do Instytutu Weterynaryjnego na Pradze. Analiza chemiczna stwierdziła, że psy były potrute strychniną, którą znaleziono również w kiełbasie. Wykryciem tępiciela psów zajęło się Towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Ze strzelby ojca. W Steblowie, w pow. kaniowskim, dzierżawca majątku, p. Wilski, po powrocie z polowania, postawił w gabinecie nabitą fuzyę, sam zaś wyszedł do drugiego pokoju. Wtem do gabinetu wbiegł 7-letni synek p. Wilskiego, Jerzy, i zaczął oglądać nabitą fuzyę. Chłopiec spowodował przypadkowy wystrzał i cały nabój trafił w głowę nieszczęśliwego dziecka. Rodzice, którzy wbiegli do gabinetu, zastali stygnące zwłoki.

Krokodyl w Dunaju. „Budapesti Hirlap" donosi, że rybacy w Neusatzu złowili w tych dniach w Dunaju krokodyla wielkości $4^1/_2$ metra. Zwierzę żyło i rybacy je zabili. Przypuszczają, że krokodyl uciekł z menażeryi, jak to się często zdarza. Między innemi zaszedł podobny fakt w Krakowie przed kilku laty. Włościanie zauważyli w Wiśle dziwne stworzenie, które co pewien czas wynurzało się na powierzchnię wody, lub wychodziło na brzeg. Jeden z myśliwych krakowskich, dowiedziawszy się o tem, udał się nad Wisłę i celnym strzałem położył na miejscu nieznane stworzenie, które okazało się krokodylem, zbiegłym z menażeryi, dającej przedstawienia w Podgórzu. Właściciel jej zwinął namioty i uciekł natychmiast, jak opowiadają, z Podgórza, aby uniknąć odpowiedzialności. Skóra wiślanego krokodyla była przez jakiś czas wystawiona w jednym ze sklepów na linii A. B.

Tępienie kotów. Municypalność w Tunisie płaci półtrzecia su za każdą skórkę kocią, ponieważ mieszkańcy uskarżają się na szkody, wyrządzone przez koty, niemające właścicieli.

Karzeł w łapach niedźwiedzia. Przy ładowaniu cyrkowego transportu w Villeneuve, we Francyi, karzeł, popisujący się zwykle tresurą niedźwiedzia, wlazł do klatki, aby poprawić jego uwiązanie. Lecz wygłodzony długą podróżą miś, rzucił się wściekle na karła, zdarł mu pazurami skórę z głowy i odgryzł mu prawe ramię. Nadaremnie usiłowano mu wydrzeć ofiarę: wypuścił ją dopiero, padając sam od celnego strzału. Karzeł zmarł w godzinę.

Kłusownicy przed sądem. Na gruncie właściciela wsi, pana Władysława R. grasowała od dłuższego czasu banda kłusowników. Pan R. kilkakrotnie urządzał obławę, zawsze jednak bezskutecznie. Doprowadzało go to do prawdziwej rozpaczy, gdyż kłusownicy, podniecani niebywałem powodzeniem, niszczyli zwierzynę w straszny sposób. Pewnego razu posłyszał pan Władysław jakieś oddalone strzały. Z nieustającym w poszukiwaniach leśniczym pośpieszył w tę stronę, nie mógł jednak przytrzymać rabusiów, gdyż, porzuciwszy zrabowaną zwierzynę, czemprędzej uciekli. Spodziewając się, że pan R. przyprowadzony do rozpaczy nowem niepowodzeniem, może strzelić, zapomnieli, w obawie o własne życie, o swoich dubeltówkach. Te pozwoliły też odnaleźć rabusiów. Leśniczy rozpoznał dubeltówki trzech wiejskich gospodarzy i epilog tej sprawy rozegrał się przed sądem. Tutaj jednak wypierał się z nich każdy, jak tylko mógł, i wolał stracić dubeltówkę, niż ponieść zasłużoną karę. Lecz sędzia nie dał za wygraną.

— Tak więc — powiada wreszcie, skoro nie mógł wydobyć z nich przyznania się do winy, — wiem teraz, że to nie wy kłusowaliście. Wyście porządni gospodarze! Niechże więc każdy weźmie swą dubeltówkę i pójdzie spokojnie do domu!

To odniosło pożądany skutek, bo oto nasi gospodarze, nie spodziewając się podstępu, spokojnie wysunęli się na środek, aby zabrać każdy swą dubeltówkę.

Z prawdziwego polowania. — Jakżeż tam udało się polowanko?

— Pod psem!.. Cztery razy biłem całą pulę i zawsze chybiłem!

— No, ale któż był królem polowania?

— Jak zwykle, Zdziś... wygrał ośmset pięćdziesiąt rubli.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (C. d.).

Pies.

27. Czuje pies sadło.
28. Tyle psu kija, co i chleba.
29. Daj psu chleba, daj psu kija, a on jeszcze warczy.
30. Daj psu palca, zechce mu się ręki.
31. Daj to psu, co ma na sercu.
32. Da pies psu gnat, kiedy mu sam rad.
33. Dla psa jest i mięso, a dla człowieka niema i chleba.
34. Dla psa niema granicy.
35. Dlatego pies kość gryzie, że twarda.
36. Dobra psu mucha.
37. Dobra psu mucha, kiedy nie ma chleba.
38. Dobry pies od złodzieja mięsa nie je.
39. Doczeka się pieska gałąź, choć mu się odwlecze.
40. Domowe psy choć się gryzą, cudzego razem pożerają.
41. Domowe psy, choć się kąsają, wilka ujrzawszy, nań się rzucają.
42. Domowe psy dopiero się kąsają, a zaraz się liżą.
43. Dziwna nawet wątroba temu psu, który mięsa nie jada.
44. Dziwna psu mucha, gdy mięsa nie widzi.
45. Gdy jeden pies zaszczeknie, zaraz szczekają i drugie.
46. Gdy pies trawę gryzie, będzie deszcz.
47. Gdy stare psy szczekają, niech się młode nie mieszają.
48. Gdzie psa karmią, tam i szczeka.
49. Gdzie się swoje psy kąsają, niech się cudze nie mieszają.
50. Głodnemu psu nie mów dwa razy „weź".
51. Gorszo psy, jak im się kto z kijem pokaże.
52. Gorszy pies na łańcuchu, aniżeli w kuchni.
53. Gromada psów śmierć zajęcza.
54. Idź, idź, daj psom siana!
55. Im bardziej ciskamy na psy, tem bardziej szczekają.
56. I pies gdy się urwie, z łańcuchem ucieka.
57. I pies nie kąsa, gdy go kto nie drażni.
58. I pies ogonem nie kiwnie, jak mu chleba nie dasz.

59. I psa poznaje swego gospodarza.
60. I pies śmiały na swym barłogu.
61. I psa z kulawą nogą w tym domu nie postanie.
62. I psa u siebie nie utrzyma.
63. I psa z pieca nie wywali.
64. I psi nań nie szczekają.
65. I wierny pies ugryzie pana.
66. I za psem nie warto rzucić.
67. Jadowici psi milczkiem kąsają.
68. Jaki pies do kościoła, taki z kościoła.
69. Jak na psie drew przywiózł.
70. Jak pies będzie siedział przy jednej dziurze, to nigdy myszy nie złapie.
71. Jak pies z kotem.
72. Jak psa z łańcucha spuścił.
73. Jak psu z pyska wywlókł.
74. Jak psy pokojowe zaszczekają, to się i brytany zrywają.
75. Jak się pies wypości, to zje i kości.
76. Jak ty z psem, tak pies z tobą.
77. Jeden pies pędzi stado owiec.
78. Jeśli swój pies nie ukąsi, to cudzy nie ruszy.

(*C. d. n.*).

Treść Nr. 23 „Łowca Polskiego".

Od Redakcyi.—Przegląd krajowych ssaków łownych. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Jarząbek. *Albert Mniszek* (ciąg dalszy). — W podróżnikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Ze wspomnień starego myśliwego. *K. Dębicki* (dokończenie).— Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — Yak i gnu. — Z literatury łowieckiej. — Dla św. Huberta. — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Kronika myśliwska. — Drobiazgi myśliwskie: (Handel ptakami). (Nieprzyjaciel psów). (Ze strzelby ojca). (Krokodyl w Dunaju). (Tępienie kotów). (Karzeł w łapach niedźwiedzia). — Humorystyka. — Przysłowia myśliwskie *J. O.* (ciąg dalszy).

W felietonie: List barona Morgensterna do przyjaciela, bankiera Abendsterna.

Ilustracye: Dobry rok.

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.
Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Ś-to Krzyska 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 24. Warszawa, d. 16 Grudnia 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).



Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej B. Ronczewski

WARSZAWA Królewska 17, — Telefon № 1917.

poleca świeżo otrzymane **nowości:**



Amerykańskiej fabryki Winchester. **Automatyczne sztucery**

Myśliwskie 6-cio strzałowe

Automatyczne sztucery magazynowe myśliwskie, ***bezkurkowe, 6-strzałowe,*** model 1905 r., amerykańskiej fabryki ***Winchester,*** z bezpiecznikiem, z lufą łatwo odejmowaną, do ładunków ***bezdymnych kal. 32 albo 35 o kuli opancerzonej całkowicie lub ekspansywnej,*** wagi około 8¼ funta. Sztucery te dokładnie wykonane, o trwałym, nieskomplikowanym systemie, odznaczają się przedewszystkiem centrownym strzałem i silną penetracyą, a wobec znanej skuteczności kuli ekspansywnej na silną zwierzynę, doskonale nadają się do różnorodnych polowań. **Rb. 67.50**

Praktyczne znaczenie tych magazynek podnosi się jeszcze przez możność noszenia za sobą zapasowych, napełnionych ładunkami magazynów dla natychmiastowego zastąpienia magazynu wyczerpanego po pierwszych 6 strzałach.

Dla wypuszczenia wszystkich strzałów strzelcowi niepozostaje, jak tylko pociągać za cyngiel. Wszystkie inne operacye, jak: wyrzucenie wystrzelonej gilzy, odwiedzenie zamka i przeprowadzenie następnego ładunku z magazynu do kamery lufy, dokonywają się same, przez zużycie siły oddania.

Za dorobienie antabek do flintpasa i pas . . . . Rub. 3.—
Setka ładunków do tych automatów kal. 32 albo 35 . . . . „ 13.50

Fabryki **LEBEAU-COURALLY** większy transport broni pojedynczych i parami różnych typów, świeżo nadszedł.

Pistolety i rewolwery różnych systemów, jako to: Browningi, Velodogi i systemu Smith & Wesson (łamane) oraz naboje do nich, już nadeszły i są na składzie.

Mam honor podać do wiadomości P. P. Myśliwych, że

REPREZENTACYĘ MOJĄ NA KRÓLESTWO POLSKIE, LITWĘ, WOŁYŃ, PODOLE i przyległe gubernie powierzyłem WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ (dawniej B. Ronczewski),

która posiada stale na składzie moje **sztucery dubeltowe i paradoxy,** jak również **trójlufki** o dwóch górnych lufach śrótowych i dolnej sztucerowej, lub dwóch górnych sztucerowych i dolnej śrotowej, albo też o wszystkich trzech lufach śrótowych lub sztucerowych.

Uprzejmie przeto proszę z łaskawemi zamówieniami dla mnie zwracać się wyłącznie do składu wspomnianej Spółki, a polecając i nadal P. P. Myśliwym moje bronie, których ciągłe udoskonalenie będzie zawsze przedmiotem moich osobistych starań, pozostaję

z uszanowaniem **Fr. WLH. HEYM** w Suhl.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W grudniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacja w grudniu.

Pier. kw. d. 22 o g. 4 m. 28 r.
Peł. d. 30 o g. 8 m. 8 w.

Wschód i Zachód Słońca

w grudniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	8	7	3	44
17	8	8	3	44
18	8	9	3	44
19	9	10	3	45
20	8	10	3	45
21	8	11	3	46
22	8	11	3	46
23	8	12	3	47
24	8	12	3	47
25	8	13	3	48
26	8	13	3	49
27	8	13	3	50
28	8	13	3	51
29	8	14	3	52
30	8	14	3	51
31				

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego"

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I 75 k.
C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I 1.50 „
Goedde „Hodowla bażantów" t. I 1 — „
Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 k.
Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I 50 „
Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 „
Wiktor Stephan „Sarna" t. I z rysunkami 50 „
Wiktor Stephan „Zając pospolity" t. I 70 „
Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy" t. I 1.20 „
Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 k.
Dr. O. Hilfreich „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I. 1.— „
Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania" z rys. t. I. 80 „
Jan Sztolcman „Ornitologja Łowiecka" t. I 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Ś-to Krzyska 36) i we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(w Warszawie, Marszałkowska 149)